ROZMAITOŚCI.

Dnia 22 sierpnia, Ner 34. roku 1846.

POGADANKA.

Bogdajto gadać! Kto już sobie spory worek zdatkowej monety uzbierał, temu się nie dziwić że gada. On może śmiało gadać, bo ma już zasób zdania na zdanie. Gdzie moneta bita, tam obrachunek niemylny. Nikt gadającemu nie zaprzeczy, iż nie wie co gada. On właśnie to gada, co wie, i tak gada, jak wie, a to jest rzecz naturalna. Człowiek wprzód wziął wiedzę, aniżeli rozum. Bo gdyby rozum wyprzedził wiedzę, wprzódby coś rozumiał, aniżeliby jeszcze coś wiedział, a to byłby wstyd dla rozumu. Dlatego też on czeka, aż wprzód wiedza się wygada. Ba, rozum nawet nie umie gadać, on zawsze coś myśli. On jakby trzy po trzy gada; jemu nie płynie pogadanka; on nieustannie się jąka, nibyto nieustannie jakieś węzełki zawiązuje i rozwiązuje.

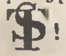
Tém też śmieléj możemy, gdy się rozum jąka, coś nawiasowo i potocznie np. — o gramatyce sobie pogadać, a témbardziéj, że nas to pogadanie, na wyż wymienionéj zasadzie, do żadnego rozumienia nie obowiązuje. My też nie pytamy, co jest gramatyka; bo gdybyśmy raz zapytali, jużbyśmy może i rozumieć chcieli, a nam tego naco? To mogłoby nas w samym progu kłopotu nabawić. Toby dało poznać, że my w sam środek gramatyki wdziérać się zamierzamy, że ją z samego środka wyszczérzyć, i wkoło okroić chcemy? Broń Boże! My ją chcemy tylko ogadać, bo wiémy, że jak człowiekowi, tak i gramatyce trudno w serce zajrzéć. Nas zawsze dotąd gramatyka obchodziła, i myśmy zawsze około niéj chodzili, a teraz możeby do tego przyszło, iżbyśmy czoło w czoło z nią zdybać się musieli. Niech to idzie na czyją inną głowę! — Nam też, prawdę powiedziawszy, nie chodzi o jakąś tam rozumową gramatykę; my przemyślamy jedynie nad tém: jakby tu językową nauczkę dla dzieci spreparować. Dla dzieci trzeba koniecznie coś dziecinnego: bo rozum przychodzi dopiéro z laty — jak przypowieść — ta filozofija ludu, powiada; tylko, żeto, ta filozofija ludu, jest dwujęzyczna, i przeciw jednéj prawdzie, drugą nam prawdę stawi: że i dzieci mają swój rozum. Otóż w tém sęk! A my właśnie chcielibyśmy ustrzedz się rozumu; boć rozum, jaki on tam jest, przecież jestto rozum. Jakże się tu do nizkiego rozumu, jakim jest dziecinny, z wyższym rozumem, jaki nasz, zabrać? Tu, choćbyś zgiął się i we dwoje, nic ci nie pomoże! Dziecię podniesiesz, ale podnieść z niém razem nizki rozum, ciężko! Ten kłopot jeszcze bardziéj kłopoci, gdy pomyślimy, że do rozumu dziecinnego jak i do rozumu starego, niczém się zbliżyć, niczém weń wniknąć nie można, tylko słowem, a słowo jak na nieszczęście, nie jest wizerunkiem, nie jest odmalowanką rzeczy, jeno jakiś cienki cień, i, jak tam powiadają, jakiś symbol, jakiś znak dowolny, a co jeszcze gorsza, znak oderwany, myślą skomponowany, od narodu zszeptany; a takie odrywki, już coś filozofiją pachną, a filozofija, to upior! Głowę mu utnij, on ci z głową pod ramieniem, chodzić będzie! Mamyż zaraz z początku elementarnéj nauki, dzieci nasze, upiorami straszyć?.... To wszystko prawda, ale jakiż tu środek znaleźć, a środka trzeba nam koniecznie, bo on, mówią, jest *instrumentalis*. Licho tam wie, może ten instrument i gramatykę nam zrobi; my tylko wiémy, że bez instrumentu nie bierz się do operacyi!.... Nie mając więc żadnéj rady, pójdźmy chcąc nie chcąc za rozumem dziecinnym, i uważajmy, w jaki on też sposób sobie sam radę daje. — —

Jako, azaliż dziecięciu nie przyznamy tego, gdy widzimy, iż ono sobie zaraz w początkach swojéj wiedzy, filozoficznie postępuje, gdy na to wszystko, co widzi, i czém się rozciekawi, palcem wskaże, i mianem *To!* ochrzci? Nie zgadujeż ono już przeczuciem, że wszelkie *To*, jest jakąś rzeczą, a przeto i rzeczownikiem? Ale my nie przyjmiemy téj prawdy, chociaż jéj sami się w wyższych szkołach uczymy; bo mamy na to inne artykuły wiary, mamy reguły mądrości niższéj, i oświecamy dziecię, tego filozofa z instynktu, mówiąc: „To nie rzeczownik, jeno artykuł, rodzajnik, lub jakie inne, dla ułatwienia pojęciu dziecinnemu, wymyślone licho; i dopóty przeciw naturze rozumu jego, czynić nie

przestaniem, aż dopóki go wrodzonéj ciekawości, tegoto bodła rozumu jego, ze szczętem nie pozbawimy, aż dopóki mu uczonych klinów naszych w mózg nie wbijemy, i przez to samo, wstrętu w niém do nauki nie obudzim. Ztąd idzie, że dziecięcia u nas, nie tak już djabłem, jak szkołą przestraszysz. Zważmy tylko poczet tych wszystkich narzędzi, które już na wstępie u gramatycznych podwoi, na rozum dziecinny wyostrzone gotowo czekają, a może nas samych przestrach owionie; jak nam n.p. przypadek i czasownik, niespodzianie drogę zaskoczą? Przypadek i śmierć z kosą, któż się nie przestraszy! Teraz przecież jeden z nowszych gramatyków, był miłosierdniejszy, i przypadek na skłonnika przemienił. Nareszcie niech i tak będzie od przypadku na inne przypadki; ale dla akuzatywusa, nie skłonnika, ale ostréj siekiery trzeba...... »Dobrze tam komuś gadać sobie, nie wie on, że każda nauka, ma i musi mieć swoje *verba technica*.“ — Tak nas zewsząd ofukną! Wiémy o tém. Ale niechże te słowa naukowe, mają i tę naukę w sobie, które oznaczają. Że to bydź może, jest tego dowód w naukach zbyt cienkiéj materyi. Słowo techniczne, powinno akuratnie — jak mierz — szczelnie w sobie te przymioty rzeczy zamykać, które ma oznaczać, aby nam, gdy się je roztworzy, ani o jeden mniéj, ani o jeden więcéj, wszystkie wysypało. Definicyja każdego słowa w gramatyce, jest tak ważna, jak i saméj gramatyki, nawet sama definicyja wymaga definicyi; kto nie definijuje i nie daje przykładu, ten nie uczy. Kto do twarzy wprost oka, strzelby nie przyłoży, ten ptaka nie ubije. Jako, mamyż dzieciom dziurawe orzechy rzucać, aby się na nich gwizdać uczyły? Wszakże wywiórka lepiéj sobie instynktem radzi: dziurawy orzech odrzuca, a do zdrowego jądra, od razu się bierze. — —

Ale, jakieżto są prawdy lub reguły niższe, dla gramatyki szkół niższych, a wyższe, dla wyższych? A jeżeli są jakie, czy nie możnaby jakim sposobem wyższe zniżyć, a niższe podwyższyć, albo, czyby nieradziéj było, jednę środkową prawdę znaleźć? Czy nie możnaby np. mówiąc o przymiotniku na dole, powiedzieć, że on będzie w górze słowem: jakości; a mówiąc o przysłowku, powiedzieć, że on będzie wskazywał: w jaki sposób się co dzieje? To przecież uczniowi, mózgu niezagwoździ, zwłaszcza gdy mu się smysłowémi przykładami udowodni; boto myłka, aby nie było sposobu, rzecz najmistyczniejszą, tak jasno, jak dzień boży, okazać, jeżeli się ją zna i rozumie z gruntu. — Chociaż od pogadanki, nikt przytoczeń dowodnych nie wymaga, ale gdy się raz rozgadała, niech plecie co jéj na myśl przyjdzie; a choćby w téj grze skrewiła, innym razem się poprawi. Spróbujmy duologicznie: Pójdź tu Mieczysławku; masz już lat 7; masz jeszcze swój rodzimy rozum, ale już ostry, bo siedm, to toporek, znak siły mocnéj. Powiédz mi: jak się To nazywa, na co ja teraz palcem wskazuję? „To jest dąb.“ Zuch z ciebie, jam się tylko o jedno pytał, a tyś odpowiedział dwoje, i To i Jest. — A To? „Olcha.“ A To? »Topola.“ – Widziałeś ty kiedy dwa konie? Powiédz. »Widziałem.“ Patrzże, ja tego jeszcze nie widziałem. „Jakto?“ Jeszcze nie widziałem dwóch koni w jednem ciele. „A! rozumiém; na świecie, jeden i jeden koń przy drugim. Proszę, a mnie się zawsze dotąd zdawało, żem ja widział w naturze dwa konie!“ — To przyzwyczajenie, cośmy zrobili myślą w sposób umniczy, to powracamy światu, zkądeśmy wzięli. „Tego nie rozumiém.“ Poczekaj trochę, może zrozumiész. Powiedz mi, dla czego mówimy: cztéry konie stoją, a dlaczego czworo koni stoi? „Teraz wiém dlaczego: cztéry konie stoją, jeden przy drugim, tak jak na świecie; a czworo, tom już sobie sztucznie myślą zrobił, wszystkim dałem jedno ciało.“ Dobrześ pojął. Czy nie moglibyśmy tożsamo zrobić z dębem, z olchą i topolą? „Trudno.“ Doświadczmy. Wszakci, kiedyś mógł cztéry konie w jedno włożyć ciało, nie mógłżebyś myślą zrobić sobie taki obręcz, takie koło, ażebyś cały las, to jest, wszystko, z czego się las składa, w ten obręcz, w to koło włożył? „O, to bardzo trudno!“ I owszem bardzo łatwo.

„Wszak każdy koń, był przecież jakąś figurą, a figura czyli postać, miała jakąś formę; czy miała? „Naturalnie.“ Dobrześ powiedział, że naturalnie; bo wszystko w naturze i w myśli musi stać pod jakąś formą; dlatego formę postacią nazywamy, że wszystko musi po niéj, po téj formie stać, jaką z natury lub umnictwa wzięło. Gdybyś n. p. czy konia czy topoli formę na papierze wyrysował; nie okroiłżebyś jéj wokoło? »Nie; jabym ją tylko ołówkiem skréślił.“ Czyż to nie jest określenie i okrajanie jedno? Weź nożyczki.... „Aha, już rozumiém. Więc dąb, olcha, topola, i wszystko w naturze ma swój okrój, swoję definicyję, obwód swoje koło, swoję granice ciała, ma kraj, krawędź, ciała.“ Gdy około okrągłego stołu dłonią powiedziesz, nie maszże w myśli wyobrażenia okroju, figury, formy okrągłości? „I jak jeszcze!“ Otóż zróbmy i dla dęba i topoli i olchy, jedno takie koło w myśli, w któreby tych troje kół weszło. „Jakżeto zrobić?“ Weź koło z myśli, jakieś wziął: dwa, trzy, cztéry z myśli: wszak dwa, trzy i t. d. w jedném ciele, w świecie nie ma, i powiedz *drzewo*. »A prawda!“ Nie jestże dąb, olcha, topola drzewem? „A juści.“ Więc tych troje kół, weszło w szérsze koło drzewa; a wejdzież n. p. grzyb, w drzewa koło, swojem kołem, i będzież grzyb i drzewo jedno, jak był dąb, olcha i topola, drzewo jedno? „Oj, pono nie będzie.“ Poszukajmyż dla grzyba innego koła; jakieżto będzie koło? „A juści mniejsze, bo i grzyb mniejszy.“ Mylisz się Mieczysławku, grzyb większe będzie miał koło, bo grzyb rośnie.

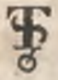
»Wszak i drzewo rośnie.” To prawda, ale cóż to pomoże, kiedy grzyb i drzewo niejedno, to twarde a to miękkie, więc już do innéj klasy należy. Poszukajmy koła, w którémby i grzyb i dąb był jedno. „To trudno.” Powiédzmy, że dąb i grzyb, roślinność; więc tu już i twarde i miękkie może stać obok siebie, bośmy z rośliny, zrobili szérsze koło, roślinność; w to koło mógłby i kamień wejść, bo przysłowie mówi: że i kamień na miejscu porośnie; ale kamień pójdzie pod odpowiedniejsze koło. „Czy jeszcze będą koła?” Jeszcze dwoje. »Coś my bardzo kołujemy.” To czynimy jedynie, abyśmy mieli tych kół pojęcie i objęcie. — Lecz wstawimyż w to koło roślinności: i zwierzęta i człowieka, i powietrze, i wodę? „Oj, nie.” A przecież. Wszak drzewo, roślina i zwierzęta, rosną. Toż wszystko, jestże ciałem? »A jest.” Więc ciało większém kołem, bo i woda i powietrze w niém się pomieści. A pomieścimyż w niém to, co nie ma ciała? jak n. p. Myśl, Bóg i t. d. A ty jesteś myślą przekonany, że twoja myśl, i że Bóg, jest? „I bardzo jestem przekonany” Więc największém kołem jest słowo: To, i słowo: Jest; bo wszystko, co tylko świat ma, i o czém pomyślić można, w tém słowie „Jest” zamknięte. Czy prawda? „*O, i* wielka prawda.” Tyś wykrzyknął O, i wielka prawda; chceszże i Oj-ca téj zadziwiającej prawdy, chceszże i symbol téj prawdy poznać? „Radbym, ale się boję, bo to coś ciemnego, co straszy.” Więc patrz:  ! »Aha, domyślam się.” — Tą prawdą wszystko stoi, to jest wąż na drzewie poznania. „Wiém już, wiém, wąż, co Ewę, naszę praprababkę skusił?” Ten sam. Ten symbol centnar waży, bo ma w sobie sto—i! »To mi ciemno.” Ba, tyś ledwie wlazł w gramatykę, a już leziesz w metafizykę. »Czy to nie jedno?” Jedno, ale.... dajmy temu pokój.

Więc my Mieczysławku, zacząwszy od dęba mieliśmy piérwsze koło, mieliśmy pierwsze objęcie; przy drugiém kole drzewa, mieliśmy drugie; przy kole roślinności, trzecie; przy kole ciała, czwarte, przy kole tego słowa „Jest” mieliśmy piąte objęcie.— czyli pojęcie. Powiédzże mi teraz Mieczysławku: które było wyższe a które niższe koło objęcia naszego? „Niższe, było przy dębie; wyższe, przy drzewie; jeszcze wyższe, przy roślinności, bo już było tylko w myśli, a *najwyższe* przy słowie „Jest.” Jakże możesz mówić o téj wyższości, kiedy to wszystko razem było w dębie, i my nie leźliśmy w górę, tylkośmy stali nizko przy dębie; nam dąb służył tylko za środek do wyszukania objęć; dlatego też, chociaż dęba koło najmniejsze, przecież jest w środku i środkiem wszystkich pięciorga kół, i w najszérszém kole słowa „*Jest*”, swojem „Jest”, w swym środku. Więc najszérsze koło ma w sobie czworgo kół, jedno w drugiém, a każde, z pięciorga, jest całe dla siebie; ale że piąte, obejmuje wszystko czworgo kół, więc to czworgo kół, sąto członki najszérszego koła, i stanowią całkowitość całości. Dlatego, jak duch, tak i ciało, zawsze całe; a że duch, nié ma ciała, więc mu przymiotu całości i całkowitości dawać się nie godzi; duch może miéć tylko idealne ciało, jak nasza myśl, którą możemy bydź wszędzie a nigdzie, którą możemy bydź za jednym tylko pomysłem i w Chinach i na gwieździe Saturna, chociażeśmy tam nigdy nie byli, bo nas smysłowe ciało nasze nie puszcza. — Więc, czybyśmy z najwyższego koła, czy z najniższego, byli zaczęli; zawszebyśmy byli ze środka prawdy zaczęli, która i wysoko i nizko, zawsze jedną prawdą jest. Zaczęliśmy od dęba, i przyszliśmy aż do takiego koła, które tylko w myśli być mogło; a gdybyśmy byli zaczęli od tego koła, które tylko w myśli jest, bylibyśmy zeszli do koła dęba, lub do coś podobnego. Teraz i ty Mieczysławku tę strasznie filozoficzną prawdę zrozumiész: »Nié ma tego w pojęciu, czego wprzód nie było w smysłach; i na odwrot: Nie ma tego w smysłach, czego wprzód nie było w pojęciu. Więc tu dwie ostateczności zetknęły się. Weźże kij za sam środek, a znalazłszy środek, połóż go na palcu, i obracaj kijem szybko i zręcznie, aby nie spadł, a obaczysz, jak się oba końce kija w jedno zetkną, i około palca, koło ci opiszą; albo zegnij kij oburącz, i zrób z niego obręcz, a wszędzie będziesz miał środek w obręczu; postawże w nim ślankę z wodą, i zręcznie i szybko obręcz rozmachaj, a zobaczysz, że i ślanka nie spadnie i wody nie przeleje. Będziesz więc i w tém miał dowód, że prawda pośrodku, i że jednę drugą dowodzić trzeba, jak to czyni w arytmetyce: adycyja, substrakcyja, multyplikacyja i diwizyja, one dowodzą swojej prawdy, za pomocą spólną. Więc nié ma tak wysokiej nauki, którąby się smysłowo okazać nie dała. A czémże teraz dla ciebie pod względem gramatyki będzie słowo „Jest”? »Rzeczownikiem.” Słusznie, słowem rzeczownem, bo w niém, i z niego, wszystkie rzeczy, które jego są. Jestto *verbum existentiae, quia omne ex isto Est, existit;* jak Łacinnik mówi. „Ależ bo nam powiadają, że to czasownik, a jeszcze nieforemny, że do niego ani to: Było, ani to: Będzie, przyczepić się nie da. „Jakże się to Było i to Będzie do tego „Jest” przyczepić może, które jak dzień boży, zawsze nieustannie Jest, ani nigdy było było, ani będzie będzie? — Powiédz mi Mieczysławku, pytam się twojego nizkiego, dziecinnego rozumu: czy jakie Było i Będzie, może powiedzieć »Jestem”? »Ta... podobno, nie może, ale, pan dyrektor powiada, że on w 16tym wieku był jest.” Tego on nie powiedział, chyba, że jest ćmą, która sobie około świe-

cy szesnastego wieku, oko rozumu oślepiła. Zapewne przesłyszało się tobie — on mógł powiedzieć, że wiek szesnasty był jest; inaczéj twój dyrektor, który twoim niższym rozumem dyryguje, byłby taki upior, jak filozofija, która swoję uciętą głowę pod ramię wziąwszy, powiada, że jest. Wiém ja, że, jeżeli ty, komu, com twemu nizkiemu rozumowi tu powiedział, jakiemu wysokiemu rozumowi, to powiész; on: *Pali się!* wykrzyknie. Będzie około wszystkich spokojnych zakładów nauki biegał i wrzeszczał: „Wstawajcie, wy, co około nauk chodzicie, i słyszcie tę banialukę!: Było, nie Było! A co większa, Było, nie będzie! Już nam ostatni rozum zabierają! My, przecież pamiętamy, co było dziś, wczoraj, przed rokiem — i — pamiętamy, co było w wieku szesnastym, i przed stworzeniem świata! Nie, nie; zabiegliśmy się; my wówczas nie byli; to, i, nas zbałamuciło. To malućkie, i, jak się na fantazyję upije, to rozum trzeźwy, chcąc nie chcąc, musi abstrahować; bo to, i, więcéj powiedziało, niż wiedziało. Boto co innego powiedzieć: i, a co innego: A! Jedno kapie cicho, a drugie rozdziawia i rozdziwia gębę. Bo, i, i A, zwyczajna pogadanka. To, i, i A, stoi w jakiejś metafizyce; ale my je zawsze widzimy w A B C. Któryż z nas nie umié i nie wié po polsku, a nie wiedziałby, co i, i A! To są wykrzykniki, z szesnastego wieku, które były jest. — A wiész ty, co ty robisz kiedy mówisz *r?* „Nie wiém.” Oto, język ci się w trąbkę zwija, drzy i warczy: *rr!* „A to jakaś śmieszna nauka.” Nauka dla dzieci, a zatém i dla ciebie. „A niech mię Bóg strzeże; wolę już nasze kółka; człowiekowi przynajmniéj się zdaje, że Polonesa tańczy.” — —

Widzisz tedy Mieczysławku, że możnaby zarazem nizko i wysoko się uczyć, a nawet przez pogadankę, ale zawsze trzeba z jednego Jest, wiele Jest zrobić, a z wiele jedno i tosamo. Tak też dawni Perypatetycy uczyli. Ucząc gramatyki, uczyli razem miłości ku prawdzie. — „Tego słowa Perypa....” Nie rozumiész? Jestto słowo, które znaczy przechadzkę, perechodke, znaczy tam i sam chodzić, nogami i głową. „Ba jeszcze co, głową!?” Albożeśmy tak nie chodzili? Szliśmy od Jest, które było w dębie, i... iszliśmy do Jest, które było w myśli, a że myśl była w głowie, a myśmy myślą myślili.... „Więc chodziliśmy i głową! Teraz rozumiem, a to piękne bałamuctwo.” Ale przynajmniéj nie próżna pogadanka, a przynajmniéj nie dziurawy orzech. Wszakżeś ty długo raczkiem pełzał, a przecieżeś sam własną siłą się podniósł, i stanął jak krokiew, jak pierwszy znak w abecadle. Długo się chwiałeś, nimeś naprzód postąpił, a teraz idąc, ani pomyślisz, że trzeba jednę nogę po drugiéj naprzód stawić. Jednakże wtedy musiałeś koniecznie o tém myślić, a żeś myślił, przeto stanąłeś głową w górę, i byłeś filozofem. »Nie ma co mówić, wielkim filozofem!” Czy wielkim, czy małym, ale nim byłeś, bo miałeś już swój rozum, jak przypowieść ludu powiada. Wtedy, gdyś ujrzał jakie: To, już ujrzałeś: Jest, i pytałeś: Co To Jest? Chciałeś poznać i nazwać, chciałeś symbol rzeczy zrobić. Już wtedy byłeś Pyta-gorejczykiem, byłeś słowiańskim filozofem. „Ba jeszcze co! Jakby to, kto usłyszał....” Śmiać się będzie? niech się zdrów śmieje, a ty poznasz po śmiechu jego — wszak wiész tę przypowiastkę — „A wiém.” Więc to musi być prawda, bo to filozofija ludu gada.— „Wszystko to dobrze, ale ta kasacyja tego Było i Będzie, narobi rozruchu.” Tém lepiéj, niechże już raz się ruszą, wszak ty nie stałeś jak słup na jednem miejscu, gdyś w górę głową z raczka się podniósł. A jeżeli będą za wiele krzyczéć, dasz im *tymczasem* tę karteczkę do przeczytania. „Denn nur das Gegenwärtige wird empfunden, das Vergangene wird nicht vermittelst der Empfindung, sondern vermittelst des Gedächtnisses aufbewahrt, und das Künftige nur durch Klugheit und weisen Vorblick vorhergesehen.” Powiész im, że bez Jest i przed Jest nie mogło bydź Było; bo czémżeby mogło bydź było? Czémżeby bez Jest, stać się, czém stanąć mogło było? A wreszcie daj im definicyję, i dołóż w dodatek... „A możnaż do definicyi dodawać dodatek?” Ot, widzisz, nie dawnoś myślić zaczął, a jużeś mnie sprostował. W tym względzie wszyscyśmy grzesznicy; nikt tak prosto nie chodzi, aby się czasem nie skrzywił lub na niego się nie skrzywiono. — Telyś przekonał się Mieczysławku; że, Jest, nie może być bez To, a To bez Już Jest.— »Czémże te ziarnka będą dla gramatyki?” Niczém innem jak tylko same ogólniki, same rzeczowniki, same punkty, które nie dają się ani klinkować ani deklinować. »Jakto? i to pierzchliwe słówko »Już” które raz w raz ucieka?” Ale słowo „Jest” nieustannie je w ucieczce powściąga. To słówko »Już” jestto tętno życia, niém wielki zegar świata się nakręca. Tych trojgo słów: Już, Jest, To; mieszkają w jednem ciele; sąto zrośnięte bliźnięta. Kto ujrzał: Jest, ten już i to Już zobaczył. To się razem bez ojca i matki rodzi.

Tych trojgo bliźniąt, dziergają i tkają nieustannie czas i miejsce. A wiészże, zkąd materyję do téj roboty biorą? Znasz już początki arytmetyki; już wiész co zero znaczy? „A wiém, zero nic nie znaczy.” Kiedy nic nie znaczy, więc przez to już samo znaczy coś. To zero znaczy taką prawdę, z któréj wszystkie idą. Każde „Jest” ma to zero pod sobą, i tém zerem stoi; dlatego zowie się substancyją. Więc wyobraź sobie to zero jak jajo, z którego wszelkie Jest się kole i niém i z niego stoi; a że już symbolów się nie lękasz, i wiész, że każdy jest

znakiem rozumu, i musi bydź koniecznie jakąś figurą, która zamiar rozumu oznacza, — bo rozum bez zamiaru, jest tak ślepy, jak przypadek — więc pokażę ci symbol słowa, którym wszystko staje się i stoi; patrz:  Widzisz jak ten wąż, z tego kółka pod sobą, ssie, i z tego, co wyssie, znak robi, i na tym znaku się okręca i wiesza. Tak i ty, gdy co myślisz, bierzesz takim wężem z takiego kółka, które masz w głowie. »Kółko w głowie! O tém nie gadajmy, bo powiedzą, że nam się tém kółkiem w głowie kręci.” — Tego wszystkiego gramatyka nie widzi, bo to wszystko dnem swojém w tém je-dném słowie »Jest” się utaiło. W tém je-dném słowie tają się również wszystkie dziewięć części mowy. To kółko, to zero, z którego wszystko idzie, jestto M ó z g Jowisza, z którego, nie więcéj ani mniéj, tylko dziewięć M ó z wyjszło. Dlategoto, ta *dziéwna dziewicza dziewiątka,* urodziwszy Się przez Się trojgiem sił przez trojgo sił, znowu do zera — do idei, wraca, z któréj wyjszła. Ale to zostawmy na późniéj. „Oj, zostawmy, aby nie krzyczano, jak na owe Lellum po Lellum.” — Po tych wszystkich banialukach — powiedz mi teraz Mieczysławku, czybyś nie zgadł, zkąd gramatyka, bądź nizka, bądź wysoka, ma zacząć? »Jak mnie się zdaje....” Skoro tobie już się z d a j e, więc twój wąż, twoja myśl, już coś z twojéj idei bierze, już ci jakieś snuje się z d a n i e; powiedz: »Mnie się zdaje — jak z téj pogadanki sądzę...” Już możesz sądzić? to dobrze, więc już pogadankę rozbierasz. — „Gramatyka powinna od słowa Jest zacząć.” Czy nie lepszeż zaczęcie będzie z s a m e g o słowa, a niżeli o d s ł o w a? Nie łepiejże ze środka ziarna? »A lepiéj.” A z czegoż ma się *wszcząć?* »Oj, tego nie wiém.” A jużci z tego samego, z czego się to słowo „Jest” *wszczęło.* »A témże słowem?....” **Jam!** »Wielka prawda!”

A skoro to: Już, przestanie być w gramatyce przysłówkiem, a to słowo: *Jam* z a i m k i e m, a będzie tém słowem bożém, którém Bóg świat stworzył, a które człowiek myślą i słowem za nim powtórzywszy — i siebie i świat i Boga poznał; wtedy gramatyka rozwidni się dniem bożym. Wtedy będzie środkiem prawdy, i téj, która wysoko, i téj która nizko mieszka. I wtedyto i te nieboraki, co teraz w niebo wiedzy tyłem lezą jak raki, znajdą środek i poznają, że tam jest im głowa, gdzie im jest myśl, i odtąd nie będą już nogami, lecz głową, bez akuszera, w świat umysłowy przychodzili. —

Przestrzegamy, niech się nikt nie waży źle gadać o naszéj p o g a d a n c e. Pogadance wszystko wolno. Rozum nie może wyjść za wiedzę; pogadanka choćby i za rozum wyszła, nikomu nie zdaje sprawy. Wszakże pogadanki niesłuchać wolno; wszakże stoi napisano: A On im gadał i gadał, A Oni go słuchali i słuchali, A nie słyszeli.

i. n. k.

MEDALIJON.

Pewnego pięknego poranku na wiosnę w roku 1841, przechadzał się młody, modnie ubrany mężczyzna sam jeden po cienistych ulicach lasku Bulońskiego, niedaleko Paryża, używając owego słodkiego wczasu, który Włosi wyrazem *dolce far niente,* a Francuzi *flâner* mianują. Lubo powietrze najwonniejszémi przesiąknione było zapachami, zdawał on się przecież napawać raczéj słodkim aromatem swojéj hawany, a poglądając za fantastycznémi kształtami igrającego z wiatrem dymu, nie zważał, iż od niejakiego czasu ktoś z niezbyt dalekiéj odległości bacznie mu się przypatrywał. Nareszcie zbliżył się nieznajomy ku naszemu młodemu człowiekowi, i rzekł:

»Przepraszam, jeśli przeszkadzam, ale nie jesteś pan....«

Zagadniony nie dał tamtemu domówić, lecz wziął go za obie ręce, i odpowiedział:

»Albert Dunois, twój najlepszy przyjaciel.«

»Czyż podobna! Tyś tutaj?«

»Tak jest, mój kochany Chateauneuf; od ośmiu dni bawię w stolicy.«

»A ja mniemałem, żeś w Hiszpanii, gdzieśmy tak piękne czasy razem przeżyli.«

»Ha, życie ludzkie wystawione jest na tyle zmian i przypadków.«

»Przecież nie jesteś nieszczęśliwym.«

»Jakże to rozumiesz?«

»Nieszczęśliwym, co się tyczé serca.«

»Nie... To, nie.«

»Prawisz tajemniczo jak sfinks, mój przyjacielu. Czyżbyś nie miał już być owym górnolotnym artystą, który daleko więcéj o sławie i zaszczytach niż o miłości marzył? No powiedz, wolnoż zapytać, jaki przypadek sprawił mi przyjemność widzenia cię tutaj, lubo się zarzekałeś wrócić do naszéj pięknéj Francyi?«

»Zapewne, mój przyjacielu, możesz się słusznie zapytać, ale....«

»O, zgaduję, zgaduję! Jesteś zakochany...«

»Bynajmniéj.«

»Lecz oto sam się zdradziłeś.«

»Jakto?«

»Wszakże wzdychasz.«

»Jesteś, jak widzę, zawsze ten sam, zawsze oryginalny.«

»W saméj rzeczy; powiadają, iż mam tę wadę.... Ale jakże nazywa się przedmiot twojéj miłości?«

»Proszę cię, Chateauneuf....«

»Ależ nie daj się prosić! No jakże? Albożto nie jestem twym przyjacielem! A więc, nazywa się...«

»W tém tajemnica.«

»Którą mi wkrótce zwierzysz. Pójdziemy wraz na śniadanie, nie prawdaż?«

»Nie umiém nic odmówić przyjacielowi.«

»Tylko mi nazwiska swojéj kochanki powiedzieć nie chcesz.«

»Ale, ale! Cóżeś tam z swoją hiszpańską margrabiną uczynił?«

»Zastrzeliłem jéj męża w pojedynku.«

»Czy tak?«

»Istotnie.«

»I czyż cię nie ścigano?«

Chateauneuf wyjął zegarek, i spojrzał, która godzina. »Opowiém ci to u Tortoniego. Tam dowiesz się o wszystkich tajemnicach.«

Podczas gdy obaj przyjaciele są w drodze do sławnéj kawiarni Tortoniego, my nadmieńmy tu nieco o ich domowych stosunkach.

Albert Dunois miał około 28 lat. Było świeżo występujący, pełen świetnych nadziei artysta, który przybył do Paryża, aby tu imię swoje rozgłosić. Niestety zdarzył mu się wypadek, jakiego już niejeden z jego kolegów w Paryżu doznał, to jest, zakochał się nieszczęśliwie, i zaniedbał swoję sztukę, która niezawodnie do znacznéj doprowadziłaby go była sławy. Pierwsze jego prace świadczyły o znakomitym talencie i ściągnęły na siebie uwagę znawców. Do tych należał także hrabia Bellarge, który dla dokończenia wychowania swéj córki, wezwał Alberta do zajęcia się wydoskonaleniem jéj w rysownictwie. Po kilku miesięcach chciał się hrabia sam o postępach swojéj córki przekonać, ale jakież było jego zdziwienie, gdy zastał Alberta u stóp Klementyny, czyniącego jéj oświadczenie miłości, które ona milczeniem pochwalać zdawała się. Obrażony w swojéj dumie, wypowiedział hrabia natychmiast dóm artyście.

Albert opuścił tedy Francyję i udał się do Włoch, aby tam pilnie pracy się oddać, i nieszczęśliwą miłość zapomnieć. Zdarzyło mu się tam jednego razu, iż pewna dostojna dama włoska, czekając nadaremnie od niego oświadczenia miłości, sama miłość mu wyznała. Albert odpowiedział wzrokiem, który zdawał się mówić: »Serce moje nie jest już mojém.« Dama zrozumiała go, i już się odtąd więcej oń nie troszczyła.

Potém udał się Albert do Hiszpanii, gdzie przypadek zapoznał go z Chateauneuf'em. Oryginalność tego człowieka podobała mu się nadzwyczaj, i zawiązał się ścisły stosunek przyjaźni między nimi.

Chateauneuf, lubo już 35 lat liczący, nie zdawał się być starszym od swego przyjaciela. Po śmierci swego ojca, zamożnego kupca w Marsylii, stał on się panem znacznego majątku, i chcąc go dwójnasób powiększyć, wdał się w wielkie spekulacyje handlowe. Dopiął on w saméj rzeczy zamierzonego celu, lecz w jakiż sposób? Oto niegodziwém ogłoszeniem bankructwa, które mnóstwo pomniejszych kupców z rodzinami o nędzę przywiodło. Dla uniknięcia prześladowań wierzycieli, odpłynął Chateauneuf z ogromnémi sumami do Hiszpanii i rozpoczął tam życie utratne, którego od niejakiego czasu Albert stał się spółuczestnikiem.

Nareszcie jednak sprzykrzyły się artyście ciągłe rozrywki i zabawy, i postanowiwszy gorliwie wziąć się do pracy, usunął się od Chateauneuf'a, który teraz tém mniej dla niego miał pociągu, iż Albert tymczasem o jego poprzednich stosunkach się dowiedział. Po upłynieniu roku powrócił Chateauneuf do Francyi, kupił tam dobra szlacheckie, od których przyjął nazwisko, i ożenił się z panną z znakomitego domu. Albert, lubo niegdyś przyrzekał, że noga jego nie postanie we Francyi, przecież po kilku latach także do ojczyzny powrócił, znacznie się podczas pobytu w Hiszpanii w sztuce swéj wydoskonaliwszy.

* * *

Po wyśmienitém śniadaniu u Tortoniego, rzekł Albert do przyjaciela:

»Jakże? Przyobiecałeś opowiedzieć mi swoją historyję.«

»Albercie,« — ozwał się Chateauneuf ponuro — »ożeniłem się.«

»Doprawdy! Témci lepiéj! Masz ładną żonę?«

»Obaczysz.«

»I żyjecie szczęśliwie z sobą?«

»Nie, przyjacielu;« odrzekł Chateauneuf z goryczą.

»Czy podobna!«

»Żona moja, idąc za mnie, usłuchała tylko woli swojego ojca.«

»Kocha więc kogo innego?«

»Mniemałem tak z początku, i, mamże wyznać, myśl ta uczyniła mię tak podejrzliwym, iż najpoufniejszym przyjaciołom moim nie dowierzałem.«

»I nicże nie odkryłeś, coby tę zagadkę wyświecić mogło?«

»Nic. Żona moja poddała się losowi, uprzedza najdrobniejsze życzenia moje, lecz nigdy uprzejmego uśmiéchu dla siebie na licu nie dostrzegę. Sądziłem, iżto może moje poprzednie postępki, o których w Hiszpanii ci wspominałem, tę karę niebios na mnie ściągnęły, i kazałem więc wszystkim pokrzywdzonym niegdyś przezemnie rodzinom zwrócić utracone sumy, które byłyby wyczerpały mój majątek, gdybym nie był trzykroć milijonowym panem. Stawszy się w ten sposób znowuż uczciwym człowiekiem, badałem naturę mojéj żony, i chciałem ją mniej obojętną dla mnie uczynić; lecz nadaremnie, zachowała ona zawsze tęższamą oziębłość. Powiédz, nie jestże takie życie piekłem, i nie zostałżem okrutnie ukaranym!«

Albert spojrzał z żalem na przyjaciela i ujrzał łzę w jego oku.

»Teraz,« — mówił Chateauneuf daléj — »nic już więcéj czynić nie mogę. Zmierzło mi życie, i czekam, czy jaki przypadek cierpieniom moim końca nie położy. Narażam się na najniebezpieczniejsze przygody, a zawsze mię prześladuje myśl o żonie, którą szalenie kocham, a któréj wzajemności pozyskać nie umiém. O, jestem bardzo nieszczęśliwym!«

Albert uścisnął przyjaciela z spółczuciem za rękę, gdyż wiedział on aż nazbyt, co to jest miłość, aby nad nim nie ubolewał.

»A zatém na ciebie teraz koléj, Albercie!« rzekł Chateauneuf. »Zaufanie za zaufanie. Odkądże jesteś w Paryżu?«

»Od tygodnia.«

»I widziałeś już swoję uwielbioną?«

»Przyjacielu, nie nastawaj na mnie. Tajemnica moja nie jest jedynie moją tajemnicą.«

»Wszakże myślałem Albercie, iż jestem twoim przyjacielem.«

»Czyż wątpisz o tém?«

»Nie, ale....«

Tu nastąpiło chwilowe milczenie, w ciągu którego, spojrzenia ich się spotkały. Poczém ozwał się Albert z przymusem:

»Ha, jeżli ci tém zwierzeniem dać mam dowód przyjaźni, więc słuchaj....«

»Dziękuję ci, Albercie.«

»Miałem lat dwadzieścia, gdy po raz piérwszy przybyłem do Paryża. Powiedziano mi, iż znajdę tam pewną sławę. Łudzono mię — znalazłem nieszczęście. Hrabia Bellange....«

»Hrabia Bellange!...«

»Tak jest, czy go znałeś? Otóż hrabia Bellange słyszał o mnie, odwidzał mię w mojéj pracowni, oglądał obrazy moje, i tak sobie w nich upodobał, iż śród wielu pochlebnych słówek, wziął mię za nauczyciela do swojéj córki. Klementyna miała natenczas lat 18. Początki nauki przewyższyły wszelkie moje oczekiwania; zdumiéwałem się nad jéj zdolnościami i zamiłowaniem, z jakiém oddawała się sztuce. Zwolna jednak zacząłem postrzegać, iż nie miała już

tej samej ochoty do nauki, co wprzódy. Jednego razu, biorąc ją za rękę, aby ją nauczyć jak pęzel trzymać; widziałem, iż palce jéj drżały jak w febrze. Spojrzałem na nią: jéj lica płonęły żywszym niż zazwyczaj rumieńcem; ręka jéj pałała w mojéj. Cóż pani jest?— spytałem. Ona nie odpowiadała. Ośmielony tém milczeniem.... Ale cóż ci-to, przyjacielu? Jesteś cały zmieniony....«

»Nic, nic, uderzyły mi humory do głowy; mów daléj.«

Albert otworzył okno i toczył daléj opowiadanie:

»Wyznałem pannie de Bellange moję długo tłumioną miłość dla niéj. Klementyna była blizka omdlenia. W téj chwili wszedł jéj ojciec, i postrzegł nasze zmieszanie. Pojął on wszystko natychmiast, i w obelżywy sposób precz mię z domu wyprawił. Wyjechałem niezwłocznie z Francyi, i udałem się naprzód do Włoch, potém do Hiszpanii, gdziem się z tobą zapoznał, a jeźli zarzekłem się wrócić nazad do Francyi, tedy stało się to jedynie w celu zapobieżenia większemu nieszczęściu.«

»A przecież powróciłeś, i w jakiéjże-to nadziei?«

»Nadziei? Ach, nadzieje moje są bardzo wątłe! Ograniczają się jedynie na tém, iż może będę mógł widzieć niekiedy moję kochankę, a potém....«

»A potém?«

»Może zginąć — bo Klementyna jest zamężną.«

»I widziałżeś ją po swoim powrocie?«

»Raz tylko; darowała mi tę pamiątkę, i kazała mi sobie przysiądz, iż nie będę się starał częściéj z nią się widywać.«

»Ten medalijon!«

»Jest w nim jéj portret.«

»A wiészże, kto ona jest?«

»Znam ją tylko pod imieniem Klementyny.«

»Nazywa się ona pani Menneville.«

»Cóż mię nazwisko jéj obchodzi!«

»Nieszczęsny! I tyż nie drżysz słysząc to imię!«

»Dlaczegoż miałbym drżeć?«

»Dlaczego! Ponieważ mąż jéj, jestto uosobiona zazdrość, ponieważ śmiercią grozi każdemu, kto tylko śmié spojrzeć na jego żonę; ponieważ najniebezpieczniejszym w całéj stolicy jest pojedynkarzem; ponieważ.... O posłuchaj mię, mój przyjacielu, posłuchaj i zrzeknij się téj miłości, gdyż mąż ten — mąż ten — o mój Boże!«

»Prędzéj wyrzekłbym się własnego życia. A chociażby on nawet był Golijatem, śmiałobym się z nim zmierzył.«

»Dobrze, Albercie, dobrze; lubię taką odwagę;« — rzekł Chateauneuf z szatańskim uśmiechem.

»Tak, nie przebaczyłbym mu!« mówił daléj artysta, a twarz jego przybiérała coraz zawziętszy wyraz nienawiści. »Rzekłbym mu śmiało: Pragnę życia twego, ponieważ już dość długo innym życie zatruwasz.«

»Takbyś do niego mówił?«

»O, i ręczę ci iżbym na tém nie poprzestał.«

»Ha, twoja odwaga godna zaiste podziwienia!« rzekł Chateauneuf, ociérając sobie pot z czoła. »Ale skończmy już tę rozmowę, która istotnie uwłacza naszéj przyjaźni. Musimy się rozstać, gdyż ważna sprawa wymaga mego oddalenia się ztąd. Po jéj załatwieniu wrócę do ciebie, i udamy się wraz z kilkoma przyjaciołmi do mego mieszkania na wsi, gdzie cię osobliwsza niespodzianka czeka.«

»Jakaż, czy przyjemna?«

»Obaczysz.«

»Miałbym ochotę, wcale cię nie opuszczać.«

»Proszę cię tylko o uwolnienie na godzinę.«

»A więc dobrze; uczynię to poświęcenie dla ciebie.«

Chateauneuf zapłacił rachunek, ścisnął przyjaciela za rękę, i rzekł:

„Do zobaczenia.“

* * *

Podczas gdy nasz artysta wracał od Tortoniego do domu przy ulicy de Provence, różne gwałtowne uczucia miotały jego duszą. Nie lękał on się pojedynkarskiéj sławy pana de Menneville, lecz tego, aby tenże nie odkrył tajemnicy swojéj żony, która w takim razie byłaby niezawodnie zgubioną. Przybywszy do domu, zdjął medalijon z piersi, przypatrzył mu się z rzewną tęsknotą, i przycisnął go do ust, jako najdroższy przedmiot, który miał tu na świecie. Wtem dał się słyszeć dzwonek u drzwi, Albert schował czémprędzéj ukochany obrazek w zanadrzu, a w téjże chwili wszedł pan Chateauneuf do pokoju.

Wrócił daleko spieszniej, niż był obiecał, bo całą ową ważną sprawą, dla któréj wprzód się oddalił, było, iż wezwał kilku przyjaciół, aby natychmiast do jego wiejskiego mieszkania zjechać raczyli.

„Proszę cię tutaj, mój przyjacielu;“ — ozwał się Albert do pana Chateauneuf — „przepraszam, iż cię w mojéj pracowni przyjmuję.“

„Jakże, nie dotrzymałem słowa?“

„W saméj rzeczy. Spodziewałem się ciebie dopiero za godzinę. Ale życzę ci szczęścia, gdyż przyjaźń, miłość i honor są zazwyczaj bardzo despotyczne, i nie lubią odwłoki.“

„Otóż właśnie jedna z tych trzech rzeczy przyspieszyła kroki moje;“ rzekł Chateauneuf oglądając różne porozwieszane po ścianach przedmioty, które uwagę jego zwracały. „Ale *à propos*, ten gabinet, o którym przed chwilą z takiém lekceważeniem wspomniałeś, zawiera niektóre ciekawe osobliwości, np. te pistolety. Czy dobrze biją?“

„Doskonale.“

„Zatém nie będę się z tobą strzélał.“

„Szczególny żarcik, mój przyjacielu.“

„Ależ Albercie, już druga godzina. O trzeciéj będą na nas czekać w mojém wiejskiém mieszkaniu. Słyszysz jak konie niecierpliwie ziemię kopytem grzebią! Spieszmy się!“

Obaj przyjaciele wsiedli czémprędzéj do powozu i szybkością błyskawicy pognali. Przed upływem godziny stanęli u celu przejażdżki.

* * *

Wila Chateauneuf'a, leżąca o kilkaset kroków od Vincennes, była strojna we wszystkie wdzięki natury i sztuki, i na kilka mil wkoło, nie miała sobie równéj.

Albert i Chateauneuf weszli do jednego z dolnych pokojów, dokąd udało się było przed nimi pięciu do sześciu mężczyzn. Przyjęto ich z ową oziębłą grzecznością, za którą zwykle jakaś tajemnica się kryje. Artysta zdawał się być tém zdziwiony, i pytał się w duchu, czy go za cel mistyfikacyi nie obrano.

„A niespodzianka, która mię oczekuje?“ zapytał Albert z cicha.

„Idziemy właśnie ku niéj;“ odpowiedział Chateauneuf, dając znak przyjaciołom, aby się za nim udali.

Wyszli wszyscy do ogrodu i ujrzeli tam przed sobą trzy chodniki, osadzone kwiatami, krzewami, jaśniejące całym przepychem wiosennéj, rozkwitającéj natury. Chateauneuf skierował się średnim chodnikiem ku poblizkiemu gaikowi, u którego wstępu czytano napis: „L a b i r y n t c y p r y s ó w y.“

Uszedłszy kilka kroków krętą drożyną labiryntu, przyszli wszyscy do otwartego miejsca, mierzącego może 40 stóp kwadratowych. Po rogach stały cztéry

cyprysy olbrzymiej wysokości, a przestrzeń pomiędzy niémi była wypełniona płaczącémi wierzbami, których gałęzie zwisały ponad staw, oblewający to miejsce.

Zdziwiony Albert mniemał, iż to jest niespodzianka, którą mu przeznaczono, i była ona téż w istocie niezwyczajną i przykre sprawiającą wrażenie.

„Albercie Dunois!" zawołał uroczyście Chateauneuf. „Pan de Menneville jest między nami."

Na te słowa wzdrygnął się artysta.

„Nie drzyj, gdyż ten, którego żonę kochasz, będzie umiał zmusić cię do rozprawienia się z nim o śmierć lub życie, gdybyś się tchórzem miał okazać."

„Tchórzem!" wykrzyknął Albert. „O, dla czegoż nie mam broni, abym go inaczej o mnie przekonać."

„Oto jest broń;" ozwał się jeden z obecnych, dobywając dwie szpady, które dotąd pod suknią ukrywał.

Albert chwycił szybko jednę z nich.

„Teraz niech pan de Menneville wystąpi!" zawołał z zawziętością.

„Nie chceszże raczéj wyczytać imię jego na jego własném obliczu?" zapytał ozięble Chateauneuf. „Jest nim ten z nas, którego rysy twarzy teraz najweselszém jaśnieją zadowoleniem."

Artysta spojrzał koleją po wszystkich otaczających go osobach i widział każdą — ponurą, zatrwożoną.

„Czyżeś już wszystkim się przypatrzył?"

„Czy podobna! Tyż jesteś panem de Menneville!"

Albert wypuścił broń z ręki, widząc, iż Chateauneuf suknię z siebie zrzucił i obnażoną pierś sekundantom pokazał.

„Menneville stoi przed tobą! Czeka na ciebie!" rzekł przyjaciel Alberta, biorąc szpadę. „Chciałeś sobie robić igraszkę z jego honoru; nie pozostaje mu więc nic jak zemsta."

Albert osłupiał.

„Oczekujesz zapewne obelgi; oto ją masz!"

To mówiąc, uderzył Alberta płazem szpady po twarzy.

„Ha, to za wiele!" krzyknął artysta z wściekłością, i rzucił się z bronią w ręku na przeciwnika, nie rozebrawszy się wprzódy.

„Walka nie równa!" zawołali świadkowie.

„Puśćcie go, już ja i tak w serce go ugodzę!" rzekł Chateauneuf, i w téjże samej chwili pchnął go tak silnie szpadą, iż Albert zachwiał się i zbladł śmiertelnie.

„Raniony! Raniony!" ozwali się sekundanci. „Trzeba mu pomódz."

W oka mgnieniu rozebrano Alberta, a gdy mu koszulę rozdarto, aby ranę opatrzyć, stoczył się medaljon do stóp Chateauneufa. Portret kochanki ocalił artystę od niewątpliwej śmierci.

„Tchórz!" zawołał Chateauneuf. „Pancerzem się osłonił."

Teraz natarł Albert na przeciwnika, i rozpoczęła się nowa walka z podwojoną wściekłością, lecz z równem z obojéj strony szczęściem. Przecież widać było niezwykłą bladość na licu Alberta, a Chateauneuf, mysiąc iż przeciwnik jego odwagę traci, wytężył wszystkie siły do zadania mu ostatecznego ciosu. Już zdało się, że nie ma nadziei dla Alberta, gdy on wtém, cudownym prawie przypadkiem, zamierzony cios szczęśliwie odparł, a tożsamo poruszenie, które szpadę przeciwnika odbiło, oraz szpadę Alberta w serce jego skierowało, i Chateauneuf nieżywy padł o ziemię.

Świadkowie otworzyli portfolio poległego i znaleźli list pod napisem: „Do pani de Menneville."

Treść jego była następująca:

„Gdy pani list ten otrzymasz, będę już zabitym w pojedynku, który w sprawie mego i twego honoru był podjęty. Odkryłem wreszcie, coś pani tak długo przede mną taiła; odkryłem miłość pani dla człowieka, z którym mnie samego węzły przyjaźne łączyły. Chociaż pani tę przyjaźń w nienawiść zamieniłaś, nie mam przecież gniewu do pani, a miłość moja dla ciebie pozostanie zawsze tażsama. W téj oto chwili, kiedy może jestem już blizkim śmierci, życzę ci: Bądź szczęśliwą! Ostatnia myśl moja będzie o tobie. Żegnaj.

de Menneville."

Wraz z listem znaleziono także testament, którym nieboszczyk cały majątek żonie swojéj zapisał.

Albert odjechał nazajutrz do Belgii, i wrócił dopiéro po dwóch latach, aby się z młodą jeszcze wdową ożenić.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 33ci i zawiéra: 1) Doświadczenia z głownią *(uredo)*. Przez D. Więcławskiego. 2) O dzierzawach angielskich i sposobie ich prowadzenia. 3) O porozumieniu się gospodarzy z chemikami. Przez profesora Balling'a. (Dokończenie.) 4) Wiadomość gospodarska. 5) Sposób, koniom schorzałym do sił dopomódz. 6) Wiadomości handlowe.

Z Warszawy: *Bibljoteka warszawska* na miesiąc sierpień zawiéra: 1) Wiadomość o postępie prawodawstwa kryminalnego we Francyi, w Belgii, w Anglii, przez K. B. 2) Wyjątki z pozostających dotąd w rękopiśmie części rozprawy Józefa Elsnera „o metryczności i rytmiczności języka polskiego." 3) Pamiętniki szlachcica z czasów Jana Sobieskiego, przez Ad. Kosińskiego. c. d. 4) Rozbiór dzieła: Gospodarstwo leśne ze szczególną uwagą na lasy prywatne, wyłożone przez A. Auleitnera — przez Kl. Wydrzyńskiego. 5) O dozorowaniu lasów prywatnych. 6) Ks. Hugona Kołłątaja korespondencyja listowna z Tadeuszem Czackim. Rozbiór przez Teod. Sierucińskiego. 7) Rozmaitości. 8) Kronika literacka, zagraniczna, bibljograficzna. Doniesienia literackie. Dostrzeżenia meteorologiczne. Tabela ruchu wiosennego ptactwa w Bychawce, z r. 1846, przez W. Tuczanowskiego.

Rzeka złotopłynna. Inżynijer francuzki, wysłany do Ameryki z okoliczności zamierzonego przekopania cieśniny lądowéj Panama, odkrył, jak utrzymuje, rzekę złotonośną, zawiérającą tyle piasku złotego, iż tameczni mieszkańcy zbiéraniem onego po 50 franków codziennie zarabiają. Mimo to jednak, zostaje w płukanym już przez nich piasku jeszcze dwa razy więcéj złota, niż oni ztamtąd wydobywają. Osobliwie w pewnym ostępie skał, śród rzeki, ma się znajdować pokład złota wartości pięciu milijardów. Jak słychać, zawiązało się już towarzystwo kapitalistów w Paryżu, mające na celu zużytkowanie tego nowego Eldorado.

Najsłodsze całusy są do nabycia w Zjednoczonych Stanach północnéj Ameryki, a mianowicie w hrabstwie Kennebeck, gdzie damy pyłkiem bielutkiego cukru się blanszują.

Redaktor Jan Nep. Kamiński — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.